

Maria Janion

Polska proza cywilna

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (20), 13-38

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szkice

Maria Janion

Polska proza cywilna*

1. Bohaterski lot i cywilne latanie

Pamiętnik z powstania warszawskiego Mirona Białoszewskiego wywołał tak gwałtowną i nie przebierającą w słowach reakcję ze strony niektórych krytyków, że sam już ten fakt wart jest głębszego zastanowienia. Postawa fanatycznej negacji rodzi się zazwyczaj wtedy, kiedy oponent staje wobec zjawiska gruntownie mu obcego i w swej obcości wstrętnego, godnego pogardy, a niegodnego zrozumienia. Najczęściej taki ostry sprzeciw budzi jakiś całkowicie odmienny, a uznany za niższy system wartości (Żukrowskiego np. najbardziej oburza to, że Białoszewski nie czuje się „mniej wart” od powstańców¹), system wartości, który budzi najgorsze podejrzenia, a mianowicie, że ma niewiele wspólnego z wartościami — znacznie więcej zaś z „przewodem pokarmowym” i dbaniem o jego wymagania („Mamy do czynienia z nieco wyrośniętym niemowlakiem, którym rządzi mamunia i przewód pokar-

Topielec
wydarzeń

* Fragment książki pt. *Wojna i forma*, przygotowywanej dla Wydawnictwa Literackiego.

¹ W. Żukrowski: *Mironek w powstaniu*. „Nowe Książki” 1970 nr 19.

Latanie
i latanie

mowy, kto go wezwie, tego słucha, topielec wydarzeń wleczony prądem”²). Typ zarzutów, jakie Żukrowski formułuje pod adresem Białoszewskiego, pozwala dość przejrzyście odczytać powód odczucia obcości, miotającego recenzentem: jest nim dogłębna cywilność *Pamiętnika z powstania warszawskiego*. Sięga ona tak daleko, że na pytanie, o czym traktuje utwór Białoszewskiego, należałoby odpowiedzieć, że o fenomenologii ruchu cywilnego podczas powstania. Podstawową jednostką tych uporczywych, bezustannych cywilnych poruszeń jest *latanie*. Trudno byłoby zapewne znaleźć drugi w literaturze polskiej utwór, który ujawniałby tak nieskończoną inwencję w zakresie nazywania i klasyfikacji rozmaitych rodzajów latania cywilów w wojnę. Bo na przykład trzeba odróżniać „lecenie bez bomb od leczenia z bombami” (s. 138)³, przelatywania z tobołami i bez tobołów, gaszenie pożaru w lataniu, przelatywanie za barykadą, wlatywanie w bramę, latanie po schodach, zlatywanie do schronu, latanie po ulicach, latanie z dzielnicy do dzielnicy, latanie w pojedynkę, we dwójkę i latanie w tłumie, „latanie z dzwiganiem i mijaniem się” (s. 100), lecenie tłumy „to ze zbombardowanych domów, to na pomoc, to szukać, to po wodę, to służbowo” (s. 207). Jest chyba oczywiste, że każde z tych latań było zupełnie inne. Jednocześnie to naturalnie najczęściej powtarzana czynność od momentu, kiedy „się zaczęło”. Spójrzmy na rysunek wybranych stron: „ze zlatywaniem na dół (...) zlecieliśmy (...) Zlecieliśmy na dół” (s. 11), „wylecieliśmy

² *Ibidem*. Wcześniej surowy recenzent dramatycznie przedstawia swój proces lektury: „Jak już oswoimy się z ćwierkaniem Białoszewskiego, rośnie poczucie monotonii, a potem przychodzi rozczarowanie i złość, dlaczego on tak wyprał z myśli swojego bohatera, zrobił z niego wyłącznie przewód pokarmowy, wypłósza z amputowaną pamięcią i zdolnością do kojarzenia, embrion pływający w roztworze cudzej walki, kulący się odruchowo i szukający mamy”.

³ Liczba w nawiasach odnosi się drugiego wydania *Pamiętnika z powstania warszawskiego* — Warszawa 1971.

na Chłodną (...) lecieli i lecieli ludzie (...) Ludzie lecieli i lecieli (...) lecą (...) Wyleciałem do bramy (...) wleciałem po schodach” (s. 12), „Lecimy (...) Lecą belki (...) Lecimy Solną (...) Lecimy (...) wlatujemy w lewo (...) Wlatujemy między barykady (...) Lecimy dalej (...) Lecimy więc (...) lecimy Długą (...)” (s. 31—32), „Wlecenie na balkonik (...) Wlecenie przez długą dechę w okno czyjegoś mieszkania (...) przeleciałem szybko (...) I wleciałem w Długą (...) Leciąło się (...) przelatywało się (...) chyba leciałem, doleciałem (...) Rysiek wyleciał (...) Zleciałem” (s. 78—79), „Wyleciałem (...) lecą w poprzek (...) leci (...) przelatuję (...) lecę (...) wlatują (bombowce) (...) my też (...) lata, latamy po (?) dole, sali (?) (...) lecimy” (s. 81), „leciał (...) leciała (...) podlatywałem (...) wylatywałem (...) Leciał (...) I leciał (...) Podlatywałem (...) ja latałem w ogóle” (s. 112), „Lecę. Dolatuję. Zlatuję w coś niższego” (s. 137), „Wylecieli (...) I było pełno dymu. Paniki. Lataniny (...) nie zlatywali (...) do zlatywan (...) przelatywały stada ludzi” (s. 173). Zupełnie jakby się czytało wykresy jakiejś dziwnej gorączki. Należy jeszcze wziąć pod uwagę inne określenia podobnych do takiego latania czynności: „sunąć”, „biec”, „ruszyć”, „gnąć”, „wpaść”, „pędzić”, „uciekać”, „wiercić się”. *Pamiętnik* od nich się roi.

Praktyczna wiedza staje się podstawą teorii instynktownego latania jako ucieczki przed śmiercią. Raz po raz pojawiają się sformułowania — nazwijmy je tak — „*prawa Białoszewskiego*”. A więc: „Wszyscy się wciąż wiercili, jak to bywa w takich (bądź co bądź) godzinach śmierci, nie mogli znaleźć miejsca” (s. 67). „Wszystkie stwory w przerażeniu pędzą, chwytają się, pędzą dalej” (s. 185). „Jak zwykle — wiercenie się stąd tam, a stamtąd tu. Mimo ogólnego pędu tam” (s. 181). „No bo — przypominam — moda na pędzenie była cały czas wszędzie. Bo chodziło nie o modę, ale o obstrzał, pośpiech i naloty. No i niecierpliwość. W końcu” (s. 182). Podane określenia przybierają postać stylistyczną prawa natury: „wszy-

Ucieczka
przed śmiercią

scy”, „wszystkie”, „jak zwykle”. Nazwa „mody” zostaje zakwestionowana; są cztery rzeczywiste przymusy konieczności latania: obstrzał, pośpiech, naloły, niecierpliwość. Sam Białoszewski zresztą mówi o prawie — „prawie wiercenia się” (s. 95). „Ale po prostu, według znanego mi już wtedy prawa, ludzie musieli zmieniać teren i uznawać coś za gorsze czy lepsze” (s. 179).

Przestrzeń
lepszą i gorszą

„Prawo” to zakorzenione jest w instynkcie życia „wszystkich stworów” — ludzie dzielą przestrzeń na „lepszą” i „gorszą”, na „tu” i „tam”, podziały te zresztą są oparte na rachunku całkowicie irracjonalnym. Ale przerażenie, odczucie stałej tożsamości „teraz” i „w godzinę śmierci” popychały, przymuszały do pędzenia, leczenia gdzieś, gdzie miało być bezpieczniej. W bezładnej lataniu, bezradnym miotaniu się między niepewnym „tu” a niejasnym „tam”, wśród ciągłej niewiedzy o tym, gdzie by tu wpaść z sobą, w tym wszystkim, co tak przejmująco przedstawił Białoszewski, obnaża się do dna okrucieństwo wojny totalnej wobec ludności cywilnej, okropność losu, którego jedynym kresem może być śmierć od latania.

Ostateczna degradacja bytu, osuwanie się życia w zagładę, zniszczenie jego podstaw fizjologicznych — tak jak to zostało pokazane w *Pamiętniku* — polega właśnie na tym, że pozostaje już tylko latanie. Latanie jako obrona przed śmiercią, ale i śmierć zarazem. Bo latanie oznacza przecież niemożność fizjologicznego przetrwania: kucnięcia, przykucnięcia, przypnięcia, znalezienia — choć na chwilę — ziemskiego, fizyczno-materialnego punktu oparcia.

Albo latać,
albo kucać

Opozycja „latania” i „kucania” wypełnia życie cywilne ludności powstańczej. Latanie jest bezładne, gdyż jest nieładem. Człowiek w powstaniu zaś usiłuje ciągle od nowa założyć jakkolwiek ład, ładzik, więc np. zbudować kuchnię. Ileż to kuchni pospiesznie skleconych z trzech cegieł i natychmiast znisz-

czonych przez bomby opisuje w *Pamiętniku* Białoszewski... W tej fenomenologii „latania” i „kucania” istotna rola przypada wychodkom. O nich też wiele informacji znajdziemy w tekście Białoszewskiego; jeden z najobszerniejszych opisów socjologii i psychologii latryny w powstaniu zaczyna się tak: „Wspomniałem już o wychodkach, które były obok tej piwnicy od schodów. Wejściowej. Właściwie jeden wychodek. Taki duży. Z ilomaś ubikacjami do kucać” (s. 91).

Idylliczne kuchnia i wychodek pojawiają się w finale *Pamiętnika*. Pełnia idylli realizuje się w tym oto doskonałym momencie, kiedy dzieje zatrzymywały się na chwilę w swym nieubłaganym biegu: „Nad rowem stały rzędem parujące kuchnie, to warszawianki robiły kolację indywidualnie. Za kuchniami tuż bawiły się dzieci. A za dziećmi na tle krzewów nad rowem na długich żerdziach zupełnie połowej latryny siedzieli szeregiem mężczyźni i srali” (s. 270). Kobiety, dzieci, mężczyźni — wszyscy przy swoich idyllicznych, nieheroicznych zajęciach. Tak wygląda przejście z historii jako sali tortur do bytowania wymijającego po prostu i zwykle jej okrucieństwo. Ale jest i tragiczny biegun wychodka. Sam Białoszewski mówi o „kilku tragicznych sytuacjach wychodkowych” (s. 213), opowiada je. Wspominając jedną z nich, dodaje: „Ile razy potem, już po wojnie, przechodziłem przez ten znajomy park, szczególnie koło murowanego wychodka, bardzo poharatanego kulami, granatami, odłamkami pocisków, wyobrażałem sobie, że to głupie miejsce było wtedy ważne, że potoczyła się tędy historia (...)” (s. 210). Historia nie wybiera miejsc, przez które przetoczy się „żelaznym rydwanem”, mówiąc stylem klasycystycznym. Historia toczy się wszędzie — również przez wychodek biegnie jej szlak. I Białoszewski robi to, co człowiek może z nią uczynić — odbiera jej paraliżujący, narkotyczny, śmiercionośny patos. Kucanie kieruje się także przeciw niemu.

Nieheroiczne
zajęcia

Śmiercionośny
patos historii

„Przykucnąć”, „przycupnąć” w wojnę to ocalić się, chociaż na najmniejszą chwilę. Białoszewski charakteryzuje zachowania tych, którzy nie chodzili „na akcje”: „bez mienia powodu, bez tłumaczeń, przykucali, przycupywali prawie za beczkę, za filary, pod prycze. I nie szli. — A były całe grupy, co chodziły. Na każde zawołanie” (s. 73). Ci, co chodzili, mieli również oczywiście potrzebę kucnięcia i przycupnięcia. Bo niemożność „kucnięcia”, niemożność znalezienia sobie najmniejszego „miejscunia” do odetchnięcia — to śmierć. Tak jawi się Białoszewskiemu biologiczna, naturalna istota człowieka, wrzuconego podczas powstania już tylko w różne rodzaje śmierci, wyliczone dokładnie w litanii, rodzaje, których zresztą nie wybiera — na które jest skazany. Życie cywilne oscyluje więc między najmniejszą drobiną spokoju, bezruchu i ładu, jaką staje się przykucnięcie, a nieprzerwanym zagrożeniem przez chaos i śmierć, które rodzą potrzebę nieustannej zmiany miejsca. Krytyka już dawno zwróciła uwagę na to, że „kucanie” i „leżenie” stanowią uprzywilejowane tematy wierszy Białoszewskiego. W jednym z utworów tomu *Było i było* kucanie zostało przedstawione jako dziecinny rytuał bezpieczeństwa:

Kucanie —
i w wierszach

Ludwik, jak był mały, kucał
jak matka z ciotką naciągały
prześcieradła — nad nim —
on pod tym prześcieradłem
w kucki czuł się jak trzeba

(*Życ w kupie...*)⁴

Kucanie pojawiło się również w wierszu pod znamienym tytułem *Mity wojenne*, składającym się z dwóch odcinków:

Trzy
Jedna uciekła.
Druga uciekła.
Trzecia
zacięła się w drzwiach.

⁴ M. Białoszewski: *Było i było*. Warszawa 1965, s. 37.

Jeden
 Ukucnął pod stół
 i ocalał⁵.

Ocalenie przez ukucnięcie należy naturalnie do zakresu „mitów wojennych”, ale również się im przeciwstawia — profanując wojnę przez dowcip („trzy” — i „jeden”) oraz przez możliwość wymknięcia się jej śmiertelności i mitotwórczej potędze. Jest to sytuacja paralelna do *Pamiętnika z powstania warszawskiego*; nic dziwnego, że jeden z krytyków recenzję z niego zatytułował *Ukucnął pod stół i ocalał*⁶. Cykl *Leżenia* z tomu *Mylne wzruszenia* dokonuje między innymi skomplikowanego zabiegu demitologizacji i deheroizacji procesu twórczości poetyckiej, umieszczonej przez romantyków w domenie natchnienia, wieszczenia i cudu. U Białoszewskiego najdogodniejszą pozycją życia i tworzenia dla Poety staje się „w kucki na wylegująco” (*Cyckam Karmel*). Kucanie i leżenie zostały więc razem połączone jako najdoskonalsze postacie istnienia. „Pozycja leżąca nie wymaga aktywności ani heroizmu, gdyż z natury rzeczy te postawy uniemożliwia; chroni również przed konsekwencjami aktywnej działalności, jako że nie sposób — dosłownie czy metaforycznie — upaść, skoro się już leży” — komentuje Barańczak⁷. „Leżenie” Białoszewskiego jest z istoty swej antybohaterskie; heros nie może przecież się wylegiwać, jeśli leży, to tylko dlatego, że wtedy spływa nań proroczy sen o przyszłych jego czynach.

Leżenie stwarza najlepsze możliwości najbardziej rozległego kontaktu z jakimś punktem oparcia — leżenie na łożku, jak leżenie na ziemi, to odnalezienie

Leżący sposób
 istnienia

⁵ M. Białoszewski: *Rachunek zachciankowy*. Warszawa 1959, s. 70.

⁶ M. Jaworski we „Współczesności” nr 16 (321) z 3—18 sierpnia 1970 r.

⁷ S. Barańczak: *Język poetycki Mirona Białoszewskiego a struktura mowy dziecięcej*. „Pamiętnik Literacki” 1973 z. 1, s. 192—193.

Być blisko
ziemi

czegoś pewnego, trwałego, nieruchomego i tym samym bezpiecznego. Podobnie jak kucnięcie. U podstaw swoistej mitologii postawy leżącej, jaką uprawia Białoszewski, tkwi antynomia ziemi i powietrza, przeżywana przez bohatera jego utworów, to jest samego Białoszewskiego, jak lęk przed powietrzem i niechęć do odrywania się od ziemi. Cytuję jeden z najlepszych wierszy Białoszewskiego pod charakterystycznym tytułem *Od ziemi nie odrosnąć*:

Wieczorem
wracam
szywną
przezroczystą,
wieczorem
wracam
lunetą,
podejrzewam
sztuczne zimne dziecko gwiazd
o siebie,
chrzęszczą mi
szklane rurki oddechu
do połączenia z
 prze-stworzami
— stworzonego
przetworzonego
schowaj mnie
przed obcymi matkami,
moja matko od nóg,
moja gwiazdo⁸.

Trudno o wyraźniejsze wypowiedzenie wspomnianej antynomii. Poeta podejrzewa siebie o to, że jest „sztucznym, zimnym dzieckiem gwiazd”. Jeśli tak, to nic dziwnego, że — by móc z nimi obcować — musi się przekształcić w szywną, przezroczystą lunetę. Zimno, sztuczność, szywność, przezroczystość, obca, nieskończona dal — to są wszystko atrybuty powietrza. I w taki też sposób — przez „szklane rurki oddechu” — człowiek połączony jest z przestworzami. Gwiazdne, powietrzne matki z przestworzy są „obce” i nie mogą być innymi, skoro Poeta-Człowiek jest na-

⁸ M. Białoszewski: *Obroty rzeczy*. Warszawa 1956, s. 89.

prawdę synem „matki od nóg”, matki-Ziemi, którą jedynie może nazywać swoją gwiazdą. Wiersz, zamieszczony w cyklu pt. *Pokrewieństwa*, odsłania pokrewieństwo podstawowe, *correspondance*, która decyduje o świadomości Białoszewskiego. Podobne umiejscowienie podmiotu w kosmosie odnajdziemy bez trudu w wielu innych utworach poety (np. jego koncepcja snu w *Liryce śpiącego z Obrotów rzeczy*: sen fruwa „nad” — nie jest śniącym, który „leży na dnie”; oddzielenie snu i śniącego ujawnia przeciwstawienie lotu i leżenia, i to na dnie, albo w *Moich Jakubach znużenia* usytuowanie Poety dobitnie zostało określone: „Najniżej — ja”).

Odczuwa on elementarną obcość wobec powietrza, przestworzy i niebios, a więc — wobec wszystkiego, co składa się na marzenie o locie. Jest to głównie marzenie bohaterskie. Heros to właśnie lot w przestworza, swobodne i wolne wzbicie się w górę, ku szczytom, najwyżej jak tylko można. Wertykalność lotu i wertykalność woli łączą się w bohaterskim porywie. Inaczej u Białoszewskiego. Już przed dzieśnięciem luty J. Kwiatkowski zwracał uwagę na „psychologiczną egzotykę”, właściwą Białoszewskiemu — była nią nader rzadko spotykana w literaturze polskiej antywolicjonalność. Wywodząc się z poetyki awangardy krakowskiej, Białoszewski zarazem jej w zasadniczy sposób zaprzeczył: „Awangarda, zarówno futurystyczna, jak konstruktywistyczna, krakowska, ukształtowała model poety o czynnym, aktywnym, wolicjonalnym typie psychicznym. Ukształtowała model poezji operującej językiem szczytów”. Białoszewski zaś to — jak dowodzi Kwiatkowski — „czas zwolniony”, „stylizacja znużenia”, „depresja języka”, „postawa kontemplacyjna”, „niedowład elementu wolitywnego”, „niedowład woli” czyli abulia⁹.

Syn matki
od nóg

Głos ma
Kwiatkowski

⁹ J. Kwiatkowski: *Abulia i liturgia*. W: *Klucze do wyobraźni. Szkice o poetach współczesnych*. Warszawa 1964, s. 128—133. Wywód Kwiatkowskiego tłumaczy ogromną wprost niechęć „poety lotu” — Przybosia do Białoszewskiego.

Dla Białoszewskiego lot jest podejrzany właśnie dlatego, że nie jest możliwy bez kontaktu ze zdračliwym, niebezpiecznym, ruchomym i lotnym powietrzem. W tym sensie więc postawa Białoszewskiego cechuje się najgłębszą, egzystencjalną wręcz „antymohaterskością”. Ten poeta nie chce opiewać lotu i woli lotu, co najwyżej — z przymusu — staje się poetą cywilnego latania. A w istocie przyziemnego pelzania. W *Pamiętniku z powstania warszawskiego* ma ono oczywiście wszelkie znamiona czegoś, co może zasługiwać tylko na wzgardę ze strony apologetów bohaterskiego lotu. Nie jest bowiem heroicznym, dynamicznym zrywem ku wielkości — to bezładne, bezsensowne, niedorzeczne wiercenie się, pędzenie dokądś na oślep, szukanie ochrony w ciemności. To nie olśniewające, mocne wyzwanie rzucone śmierci — jak lot ku słońcu, lot ku gwiazdom, przeciwnie — to nędzna, tchórzliwa, płaska i cywilna ucieczka od śmierci. Cywilne trzymanie się ziemi — wyraźne w „lataniu”, „kucaniu”, „przycupywaniu”, chowanie się do jej środka, schodzenie w głąb, w ciemne podziemia, w piwnice, to wszystko w oczach reprezentantów heroicznego kanonu literatury ma zupełnie jednoznaczny wymowę.

Drugie oblicze
wojny

Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że wojna ma swoje dwa bieguny. Na jednym znajduje się bohaterski zryw-lot, zdobywcza dynamika wojowników, na drugim zaś — degradacja życia, wyniszczenie wszystkich najmniejszych punktów oparcia — „punktów życia” po prostu. W cywilnym lataniu takim najmniejszym punktem życia staje się kucnięcie. Czyli dotknięcie ziemi, tej „matki od nóg”, tej prawdziwej gwiazdy człowieka. Gwiazdy cywilnej.

W tak ostro doświadczonej przez Białoszewskiego antynomii ziemi i powietrza oraz przy takim jej nacechowaniu szczególna rola przypada Matce. Matka i Ojciec są też pierwszoplanowymi postaciami *Pamiętnika z powstania warszawskiego*. Ale wśród cywilów Ojciec — mimo wszystkich swych niewątpli-

wych zalet — musi jednak ustąpić na drugi plan. Tu króluje Matka. Matka jako wcielenie cywilności, bo uosobienie instynktu życia i ziemi — przeciw pędowi ku heroicznej śmierci, który cechuje bohaterów. Matki są przeciw wojnie, a gdy wojna już się staje, usiłują ją na swój sposób opanować. Dlatego Białoszewski może się posłużyć następującym uogólnieniem socjologiczno-historiozoficznym: „W czasach wojny zawsze chyba jest nawrót do matriarchatu. A jeszcze ta wojna. A jeszcze to zejście w dół, pod Warszawę (w to mrowisko schronowe), to powstanie. To był nawrót-wybuch. Matriarchatu. Piwnicznego? Jaskiniowego? Co za różnica. Kupy ludzi. Rządzą matki. Siedzenie pod ziemią. Kryj się! Nie wychylaj się! Niebezpieczeństwo śmiertelne. Wciąż” (s. 97). Wszystkie czynniki sprzyjające cywilnemu matriarchatowi w czasie wojny zostały tu wymienione. A rzeczywistość sama stworzyła jakby mityczne połączenie: zejście do podziemi, do piwnic powstaniowej Warszawy to zejście do królestwa Matek, które zawsze jest królestwem podziemnym. Ale Białoszewski nie byłby sobą — to znaczy przede wszystkim pisarzem antymitycznym — gdyby Matek nie zobaczył od czasu do czasu — po prostu i zgodnie z rzeczywistością — jako zwykłych warszawskich bab. Baby jako cywile — oto temat najdowcipniejszych partii *Pamiętnika*, informujących o tym, jak baby chciały się poddawać Niemcom, jak wymyślały powstańcom za powstanie itp. Taka babska, humorystyczna saga podziemna i antywojenna.

Jeden zaś z najbardziej przejmujących fragmentów *Pamiętnika* to opis przejścia pod okropnym obstrzałem z ulicy Rybaki do Sakramentek. „Mirek! Mirek! — najdłużej pamiętam głos Matki. Krzyk” (s. 114) — wyznaje Białoszewski — i wiemy przecież, że nie jest to głos jego fizycznej Matki (bo to „Mama Swe-na” występuje w tym fragmencie relacji, jak zresztą w większości *Pamiętnika*), ale Matki po prostu. „Mam te głosy do dziś w uszach, jak żywe” (s. 114) —

Matriarchat

Baby
na wojnie

pisze poeta, nieskłony przecież wcale do tego rodzaju wynurzeń i wszystkim swoim czytelnikom daje usłyszeć ten głos, który będzie teraz biegł przez lata. Białoszewski, jak się wydaje, jest nie tylko jednym z najbardziej „cywilnych” pisarzy literatury polskiej, ale również jednym z najbardziej „prywatnych”. Poetyckie sensy tej prywatności w pełni ujawniają znakomite analizy wierszy Białoszewskiego (*Leżenia* oraz *Ballada od rymu*), przeprowadzone przez Janusza Sławińskiego. Zwracając uwagę na opozycję „oficjalności” i „prywatności” w poezji Białoszewskiego, badacz ukazuje niespotykaną, szczególną wykładnię, jaką owej peryferyjnej, nieoficjalnej prywatności nadaje autor *Rachunku zachciankowego* i *Młynych wzruszeń*. „Białoszewski zapisuje doświadczenia byle jakie, nie włączające się w żaden wyższy porządek, rozproszone i mało znaczące (...) Białoszewski dekonspiruje wstydlive strony języka, tkwiące w nim siły nieporządku, przewrotną rutynę form, automatyzm i tandetę. Przedrzeźnia i ośmiesza w ten sposób język jako całość, jako system umożliwiający oficjalne artykulacje”¹⁰. „Białoszewski opowiada się swoimi poczynaniami za nieoficjalną i niesystemową stroną języka. Słowu nazywającemu, wyrażającemu, komunikującemu, uchwytnemu w kategoriach gramatyki i semantyki przeciwstawia słowo manifestujące swoją niezdolność do tych funkcji, swoją niedojrzałość i ułomność”. Jego parodia „kieruje się w stronę wszelkiej praktyki językowej (opowiadającej, ekspresywnej, moralistycznej itp.), demaskując i przedrzeźniając jej rzekomą celowość i sprawność”¹¹.

Sławiński
o języku Białoszewskiego

¹⁰ J. Sławiński: *Miron Białoszewski: Leżenia*. W: T. Kosstkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński: *Czytamy utwory współczesne. Analizy*. Warszawa 1967, s. 159 i 168.

¹¹ J. Sławiński: *Miron Białoszewski: Ballada od rymu*. W: *Liryka polska. Interpretacje*. Pod redakcją J. Prokopa i J. Sławińskiego. Kraków 1971, s. 510—511.

To tak pojęta „prywatność” lingwistyczna zmusiła Białoszewskiego, by sięgnął po fenomenologiczny konkret, wymijając i kwestionując „oficjalny”, „tyrtejski”, „retoryczny”, „kombatancki” system literatury polskiej. Operuje on najczęściej skończonymi, gładkimi, rozbudowanymi, starannymi zdaniami-okresami, bądź też monotonnymi śpiewankami; tego wymaga retoryka oficjalna, jak i retoryka tyrtejska, ześlizgujące się łatwo we frazes bogoojczyźniany bądź socjalistyczny. Przeciw niemu Białoszewski wznosił swój system „prywatny”, „intymny”, wyzuty z oficjalności, ufundowany na „doświadczeniach peryferyjnych” (wedle określenia A. Sandauera), posługujący się często anakolutami oraz obnażający automatyzm i bezwład języka, do którego tak bezgraniczne zaufanie żywią zazwyczaj wszyscy obrońcy i praktycy frazesu. „Wieszcz od stołowej nogi”, jak go przezwiał Przyboś, powołany był do tego, by stworzyć cywilny i prywatny, zupełnie nowy w literaturze polskiej obraz czegoś tak z gruntu niecywilnego i nieprywatnego jak wojna, by powiedzieć o powstaniu warszawskim słowo, które nie zostało przed nim wypowiedziane.

Cywilny
obraz wojny

2. „Miron B.M.” — świadek męczennik

Dziwne dość, jak na nasze stosunki, imię Białoszewskiego znajduje wy tłumaczenie: jest to imię z kalendarza. W *Pamiętniku* wspomina swoje imienniny, które przypadły akurat w środek powstania (17 VIII), i uskarża się, że zazwyczaj pod tą datą figurowało „Jacka, Julianny”. „Ale w kalendarzu było tylko w 1922 roku «Mirona B.M.» (Biskupa Męczennika) — bo z kalendarza Nanka mnie wybrała jako Mirona” (s. 87). Wybór imienia miał w sobie coś z proroctwa. Rzeczywiście przyszło Białoszewskiemu na to, że musiał się stać świadkiem i mę-

Świadek —
współuczestnik

czennikiem jednocześnie — w tym zamierzczłym znaczeniu słowa *martir*, które utożsamia męczennika ze świadkiem i świadka z męczennikiem. Świadek jako „żywe świadectwo”: „to ten, który daje świadectwo wierze, i to daje świadectwo nie słowem, lecz czynem”¹². Czynem to znaczy współuczestnictwem. Białoszewski mówił o greckich historykach: „Przekonałem się na tych autorach, że warto i trzeba pisać, skoro się było w środku takiego wydarzenia. I że trzeba pisać jak oni. Grecy historycy są świadkami, często bezpośrednimi”¹³. Współuczestnictwo to również pisanie. Podobnie jak ulubiony Tucydides, Białoszewski zajmuje w *Pamiętniku* postawę świadka współuczestniczącego, a jeśli dla pozycji „świadka jako męczennika” konieczne jest to, by wcielał on wartości ważne dla jakiejś grupy (jak wywodzi Czarnowski), to podobnie jest również i w tym przypadku: Białoszewski reprezentuje większość cywilnej ludności Warszawy. Dwieście tysięcy, które legły pod jej gruzami, i tych, którzy musieli ją opuścić po kapitulacji.

Określenie pozycji opowiadacza-kronikarza-świadka ma istotne znaczenie, gdyż fałszywe ujęcia w tym względzie sprowadzają dalsze konsekwencje dla oceny *Pamiętnika*. Przypomnijmy, że Żukrowski nazwał Białoszewskiego w powstaniu „Mironkiem” — usiłując uwydatnić w ten sposób przede wszystkim nieporadny infantyizm narratora. Wilhelmi zaś nazwał go „outsiderem” — „który stoi z boku, który rzadko kiedy w działaniu uczestniczy i rzadko kiedy coś z niego rozumie”¹⁴. Ani „Mironek”, ani „outsider”. Są

Ani Mironek,
ani outsider

¹² Por. wywody S. Czarnowskiego: *Kult bohaterów i jego społeczne podłoże. Święty Patryk bohater narodowy Irlandii*. Tłum. A. Glinczanka. Warszawa 1956, s. 16—17 oraz wyjaśnienie tłumaczki na s. 247.

¹³ *Szacunek dla każdego drobiazgu. Z Mironem Białoszewskim rozmawia Zbigniew Taranienko*. „Argumenty” 1971 nr 36 (691).

¹⁴ J. Wilhelmi: Wstęp do M. Białoszewski: *Pamiętnik z powstania warszawskiego*. Warszawa 1970, s. 7.

to określenia całkowicie nie do przyjęcia w świetle uważnej, bezstronnej, rzeczowej lektury *Pamiętnika*.

Jego zasadniczym rysem jest prawie nie wygasająca dążność do poznania, a więc do świadczenia. Wypowiedzi na ten temat jest wiele, zacytujmy tylko dwie: „Przecież to ważne było dla mnie: poznać tę ostatnią zachodnią ćwiartkę powstaniowego Śródmieścia” (s. 232). Autor nawet nie musi tłumaczyć, dlaczego to było takie „ważne” — rzecz rozumie się sama przez się. Już po kapitulacji powstania, ale jeszcze w Warszawie pojawia się takie zdanie: „W ogóle ciągnęło iść — iść — patrzeć — sprawdzać” (s. 242). I znów nie z pociągu do gapiostwa ulicznego tak się działo, jak zdaje się sądzić Żukrowski, ale z żądy wiedzy świadczącej. Rozmaite zabiegi świadkowania Białoszewski wielokrotnie wprowadził do tekstu. Węć na przykład: „Co pamiętam? I dużo, i nie tak dużo, nie zawsze po porządku czy dzień po dniu. Mogę coś pomylić w kolejności, w jakiejś dacie (jakiejś nawet na ogół ważnej, choć mam kilka dat murowanych), w układzie frontów, i tych naszych, i tego dużego” (s. 34). Wobec tego nasz Świadek powołuje jeszcze innych świadków. Podpiera się pamięcią Ojca („Opowiada Ojciec”, s. 168; „wspomina do dziś Ojciec”, s. 205; „Ojciec, bo posługuję się tu ze trzy razy pamięcią Ojca, twierdzi”, s. 228), znajomych, czerpie z powojennych opracowań historycznych („Nasze pisma dały wykazy (...)”, s. 26; „ze «Stolicy» dowiedziałem się”, s. 13), uzupełnia informacjami z 1946 r., kiedy pracował jako dziennikarz przy ekshumacjach, a nawet w związku z kanałami pisze: „co wiem już z filmów” (s. 51). Raz po raz odsłania się tu dyskretna rzetelność świadczenia.

Źródła wiedzy

Białoszewski przeszedł całą 63-dniową gehenną ludności Warszawy. Niewiele mu zostało zaoszczędzone (np. nie był gnany przed czołgami niemieckimi na pozycje powstańców, ale dużo się o tym nasłuchał

Życie
katakumb

od tych, co byli gnani). Nie podobna wyliczać wszystkich męczeństw ludności — *Pamiętnik* przeważnie z nich się składa. W tym świecie zagłady szlochające dziecko uspokaja się słowami: „Nie płacz, i tak nie będziesz żyła” (s. 37). Zwrócić można tylko uwagę na jeden z opisów o wyraźnym nacechowaniu poetyckim, interpretacyjnym i emocjonalnym. Oto wygląd podziemnego schronu: „Między zespołami przychodzących się w mroku graty. I tylko wyraźne było jedno przejście główne od drzwi do ołtarza i dookoła. Poza tym betonowe filary. Czyli makabry katakumbowej kaplicy” (s. 33). Podziemne życie męczenników nasuwa jedno oczywiste skojarzenie — i ono właśnie się pojawia. Na zacytowanym fragmencie jednak nie wygasa i ciągnie się dalej — obrządki religijno-patriotyczne (odmawianie modlitw i czytanie gazet jako „jednakowa liturgia”, s. 40) mają wyraźny charakter katakumbowo-martyrologiczny.

Męczeński czas

To jest jednak tylko zewnętrzny wystrój męczeńskiego żywota zbiorowości. Najbardziej zaś przejmujące wyznanie męczennika dotyczy wewnętrznego wpływu czasu: „I wydawało się, że już całe lata tego za nami, i co przed nami?, że nic innego nie było i nie będzie, tylko powstanie. Którego nie można było dłużej wytrzymać. Każdego dnia nie można było dłużej. Potem każdej nocy. Potem każdych dwóch godzin. Potem każdych piętnastu minut. Tak” (s. 57—58). Jeśli istnieje osobny gatunek czasu — czas męczeński — to właśnie tutaj został on nadzwyczaj precyzyjnie opisany. Przecież jednak nie w kanonicznym polskim sposobie martyrologicznym. Oczywiście Białoszewski nie byłby sobą, gdyby nie poinformował, jak pani Rybkowska, udawszy się do schronu wśród bombardowań i odstąpiwszy mieszkanie rodzinie Białoszewskiego, przychodziła sprawdzać, „czy przypadkiem nie potłukliśmy szklanek w kredensie” (s. 194), albo jak czołgając się przez kanały nie chciał oprzeć się o brudną ścianę, bo oszczędził ubranie (s. 156).

Warszawa nazaczyła swoich męczenników odorem śmierci i zniszczenia. Tak pisze Białoszewski już po wyjściu z miasta: „Nie obliczyłem, że jestem aż tak napiętnowany” (s. 259). A nieco wcześniej zauważa o tych, którzy opuszczali Warszawę: „Swoją drogą, musieliśmy wtedy wyglądać dziwnie. I cywile. I powstańcy. Nie byli znowu wcale do siebie tacy niepodobni. Wszyscy ludzie, co wylazili wtedy z Warszawy, byli do siebie podobni i zupełnie niepodobni do innych” (s. 254—255). Zatarły się więc we wspólnym losie nawet różnice między powstańcami a cywilami, zostało tylko jedno podobieństwo: wszystkich pochodzących z miasta śmierci. Ze zdumieniem dowiadawali się oni, że „poza Warszawą był normalny okupacyjny ciąg życia i spraw... (...) Tutaj nie musieli budować kuchni z trzech cegieł. Tutaj nie panowała pierwotna jaskiniowa wspólnota” (s. 264). I dlatego powstanie, które miało być — w przyjętym polskim nazewnictwie — sierpniowym, stało się warszawskim. „Ale Polska już w Młocinach, już we Włochach była nie-Warszawą, żyła swoim życiem. (...) Więc — wracając do Polski — to Polska nie była Warszawą. I powstanie zostało powstaniem warszawskim” (s. 68). To odcięcie Polski od Warszawy, a Warszawy od Polski — cóż oznacza? Oznacza napiętnowanie przez krąg śmierci, oznacza wyodrębnienie przez męczeństwo, oznacza gorzkie poczucie wyjątkowości. Wyjątkowości, na którą zostali skazani obywatele zamęzonego Miasta — czy tego chcieli, czy też nie chcieli. Opuszczając sferę śmierci i zagłady, mieli na sobie ich niezatarte piętno. Ona też stanowi o kwalifikacji Białoszewskiego jako świadka. Świadczy on o Rzezi Niewiniątek i Rzezi Niewinnego ¹⁵.

Polska
i Warszawa

¹⁵ Por. omówienie tych tematów, zwłaszcza w malarstwie, w bogato ilustrowanej książce H. Parmelin: *Le Massacre des Innocents. L'Art et la guerre*. Paris 1954.

3. Śmierć Miasta

Tym Niewinnym jest Miasto. „Jak się unosiło tamto całe górne, znaczy: po górze, góra i to, co na górze: Nowe Miasto Starego Miasta? Może lepiej: jak wisiało? samo w sobie i nad sobą? przepalone żywymi ogniami? dymione? pylone? bite? huczne? tłuczone? (s. 111). Znaki zapytania mówią o tym, jak trudno jest znaleźć określenia na męczeństwo Miasta, męczeństwo jakby przepisane z rozmaitych żywotów rozmaitych świętych.

Ogląd fenomenologiczny

Słowo „żywot” jest tutaj jak najbardziej na miejscu. Miasto Białoszewskiego bowiem to żywa istota. Nie należy jednak bynajmniej na podstawie tego określenia sądzić, że poeta dokonuje romantycznej rekonstrukcji duszy Miasta. Podobna rekonstrukcja byłaby faktycznie odtworzeniem duszy indywidualnej czy zbiorowej, kosmicznej, objawiającej się w przedmiocie pozornie martwym. Niczego podobnego nie znajdziemy u Białoszewskiego. Jego postępowanie poznawczo-poetyckie ma bowiem charakter fenomenologiczny. Oznacza to zatem nie romantyczne określenie podmiotowego stosunku do świata, który ma swoją i wspólną z nami Duszę, lecz fenomenologiczne zbliżenie się do istoty rzeczy. W tym celu — jak to proponuje znakomity analityk wyobraźni, Gaston Bachelard — trzeba uprawiać marzenie fenomenologiczne, które pozwoliłoby przeniknąć autonomiczny sposób istnienia przedmiotów; będąc „z zewnątrz”, byłoby jednocześnie „wewnątrz”. Jeśli Husserl walczył z psychologizmem, to właśnie dlatego, że nie chciał oglądanym fenomenom narzucać własnej duszy, lecz pragnął dokonać ich oglądu takimi, jakimi są „same w sobie”. Białoszewski z egzystencji — nie z esencji — chciałby uczynić ostateczną rzeczywistość człowieka. Dlatego jego fenomenologia egzystencjalna, zbliżona do usiłowań wielu pisarzy drugiej połowy XX w., zasługuje na baczność i uwagę.

Pytania Białoszewskiego przed chwilą zacytowane dotyczyły tego właśnie: jakie jest Miasto „samo w sobie” i jaka jest jego śmierć „sama w sobie”?

Do tej najważniejszej sprawy Białoszewski podchodzi na kilka różnych sposobów. Buduje swój opis fenomenologiczny z rozmaitych doświadczeń, elementów, spostrzeżeń. Zauważa na przykład, że istniały trzy Warszawy: „Przecież tyle kanałów, ile ulic. Czyli jeszcze raz miasto. Trzecia Warszawa, licząc od wierzchu. Pierwsza na wierzchu właśnie. Ta z przejściami przez podwórza i sienie. Druga — schronowa. Z systemem podziemnych połączeń. A pod tą podziemną jedną ta podziemna” (s. 152). Więc: powierzchniowa, podziemna i podpodziemna. Prawdziwy labirynt, który dla mieszkańców tamtej Warszawy nie jest bynajmniej przenośnią literacką, lecz najbardziej empiryczną rzeczywistością. I tu również — jak i gdzie indziej dla Białoszewskiego — okazała się ona w pełni „wydolna”. Dla całości *Pamiętnika* doniosłe znaczenie ma ta stałe w nim obecna, zadziwiająco dokładna topografia zawile z sobą splątanych trzech Warszaw. Fenomenologicznej analizie Białoszewskiego podlegają przede wszystkim bramy, mury, ulice, domy, figury, kościoły itd. Tak dokładnie to czyni, że z uzasadnieniem może używać określenia typu „omówiona brama”, np.: „W tym murze, omówionym już kilka stron temu, była omówiona też już brama” (s.60). To jest własny, odrębny porządek rzeczywistości — równie ważny jak porządek rzeczywistości ludzkiej. Równorzędny.

Cechą rzeczywistości przedmiotowej jest także zmiana, w warunkach normalnych trudno uchwytana. Natomiast w niszczącej z godziny na godzinę Warszawie wszystkie przedmioty znajdują się w procesie bezustannego stawania się. Jest to oczywiście stawanie się destrukcji. „U szyi leja rynkowego zebrane w kupę skupienia tłoku z ludzi; gruzów; te pomieszczone już, wiszące, sterczące, lecące — bo coraz jeszcze coś leci, zlatuje (przecież wciąż się dalej jeszcze

Trzecia
Warszawa

Rozrost
destrukcji

zmienia!) — te Freta, Koźła, Franciszkany” (s. 115). „Tylko wiem, że Rybaki, czyli tak zwane ulice, bo i Kościelna, i skrzyżowanie — bardzo się już wtedy odmieniły. W ogóle były niepodobne ani do siebie, ani do ulicy. Ani do skrzyżowania. Zapanowały inne układy. Góry. Rowy. Barykado-ściany. Gruzo-barykady. Coś raczej w poprzek. I na głęboko. Mówię o zmianach na tak zwany niuch, dotyk: od dreptania, wyciągania rąk i wpadania kaszy gruzowej i dymu w dech” (s. 110). Przytaczam fragmenty, w których Białoszewski wprost mówi o zmianach otoczenia i sposobach ich doznania, dokonuje niejako teoretycznej rekapitulacji *zmiany*. Ale *Pamiętnik* przelewa się od innego jeszcze rodzaju opisów, które naprowadzają na kwestię centralną dla poetyckiego widzenia i poznania u Białoszewskiego.

Zatrzymajmy uwagę na słynnym opisie, następującym zresztą po enuncjacjach o zmianie: „Rozłupane kamienice. Nadbudówki. Po ileś pięter. Rozłupane na piony. W ukosy. Puste. W wióry. W wisiory. Z wapna, trzciny, desek, cegieł. Strasznie dużo tego. Z tego była cała Warszawa. Prawie. Te pięciopiętrowe też: trzcina, wapno, cegła, dechy. Czyli drzazgi. (...) W ogóle — Warszawa zdradzała się ze wszystkich swoich sekretów. Już się zdradziła — nie ma co ukrywać. Już się sypnęła. Wkopała. I te sto lat wkopała. I te dwieście. I te trzysta. I te więcej. Wszystko się wydało. Od góry do dołu. Od Książąt Mazowieckich. Do nas. I z powrotem. Staś, Sobieski, Sasy, Wazy. Wazy, Sasy, Sobieski, Staś, Fukier. Sobiescy, Marysienka, Sakramentki” (s. 115—116).

Sypnęła się
stolica

Ten mistrzowski fragment prozy uderza chyba przede wszystkim niesłychanie konsekwentnym wykorzystaniem dwuznaczności takich słów, jak „wkopać się” i „sypnąć się”. Warszawa w istocie wkopuje się w ziemię i sypie się w gruzy — i Warszawa jednocześnie zdradza się ze swoich sekretów. Są to sekrety dwojakiego rodzaju, nazwijmy je materialnymi i historycznymi. Materialne ujawniają to, z czego War-

szawa była „zrobiona”. Historyczne — z jakich warstw przeszłości się składała, więc również z czego historycznie była „zrobiona”. Zniszczenie obnaża przemieszanie tych substancji, dlatego zapewne Białoszewski powtarza dwa razy ten sam zabieg, to znaczy wylicza w zmienionej kolejności — od początku do końca i od końca do początku, od góry do dołu i od dołu do góry, tam i z powrotem — dechy, trzcinę, cegły itd., Sasów, Wazów, Stasia itd. W ten sposób w błyskawicznym skrócie odsłania się *wewnętrzność* Warszawy — i tylko tak może być ona *poznana*.

W opisie Białoszewskiego odnajdujemy ton zdumiewającej euforii poznawczej, zachwyconego zdziwienia, coś jakby z aury *Obrotów rzeczy*:

Włóż, włóćcie papierowe kwiaty do czajników,
pociągajcie za sznury od bielizny
i za dzwony butów
na odpust poezji
na nieustanne uroczyste zdziwienie...!

(O mojej pustelni z nawoływaniem) ¹⁶

A w *Sztukach pięknych* mojego pokoju w części za-tytułowanej *Szkoła nieprzyzwyczajenia* prosi boginię zmęczenia, by tylko „nie zesłała do rzeczy przyzwyczajenia” ¹⁷. Oczywiście idzie tutaj ciągle o ten sam stan — stan, z którego rodzi się poezja. I rzeczywiście czuje się, że wtedy — wśród tej straszliwej zmiany — Białoszewski staje się Poetą, spełniając poczucie takiego istnienia, które Bachelard sumuje w krótkim zdaniu: „Jesteśmy bytami głębinowymi”, a wcześniej zwraca uwagę na „izomorfizm obrazów głębi. Marząc o głębi, marzymy o naszej głębi. Marząc o utajonej właściwości substancji, marzymy o naszym bycie utajonym” ¹⁸. Fenomenologicznie marząc o własnym bycie ukrytym, Białoszewski

Byt ukryty

¹⁶ Białoszewski: *Obroty rzeczy...*, s. 78.

¹⁷ *Ibidem*, s. 73.

¹⁸ G. Bachelard: *La terre et les rêveries du repos*. Paris 1948, s. 259 oraz 51.

marzy o tajemnicy substancji. I ta mu się właśnie odkryła w sypiącej się Warszawie.

Wydaje się, że rozważania Bachelarda o obrazach materialnych substancji oraz o dążeniu do spenetrowania jej głębi i wnętrza dostarczają istotnego wyjaśnienia tego, co nazywa się nieraz ciekawością poetycką. Bachelard dodaje jeszcze, że jest ona agresywna, że w woli widzenia wnętrza rzeczy odkrywa się pęd do zgwałcenia tajemnicy tego, co ukryte. Dlatego Bachelard może zrównać ciekawość dziecka, rozpruwającego brzuch lalce, i ciekawość poety o oku inkwizytora, który pragnie zobaczyć to, czego się nie widzi i nie powinno się widzieć. Wola spojrzenia, które żywi nieprzemogłą potrzebę *głębi* przedmiotu, stanowi cechę człowieka, a poety w szczególności, poety snującego przedziwne marzenia o tym, jakie są rzeczy w środku, same w sobie, same w swoim środku¹⁹. Prawdziwe poznanie musi przenikać do wnętrza, nie może się ześlizgiwać po zewnętrznosci.

Jest to niewątpliwie jedna z podstawowych spraw poezji Białoszewskiego, jego stosunku do rzeczy i rzeczywistości. Jako figurę podobnego myślenia przyjmijmy prozę pt. *Wieniec z materaca* (z 4 października 1967 r.). Już sam tytuł ujawnia, „co z czego zostało zrobione”. Jest to historyjka o wieńcu na tablicę Prusa w szkole w Milanówku ku uczczeniu pamięci pisarza. Baza pod wieniec została zrobiona z pakulów z tapczana Białoszewskiego, liście na nim spięte lokówkami. Detalicznie, z rzemieślniczo-demaskatorską precyzją poeta przedstawił żmudny proceder montowania wieńca.

„Na drugi dzień wieniec wisiał. Przyszły delegacje. Sztandary. Grały orkiestry. Iwaskiewicz wysiadł z samochodu. Odsonił. Telewizja kręciła. Rozmowa z uczennicami była. Udało się. Nawet słońce.

¹⁹ Por. *ibidem*, s. 7—9, początek rozdziału pt. „Les rêveries de l'intimité materielle”.

Dziś trzeci dzień. Od nocy deszcz. Nie wiadomo co z wieńcem. Chyba się rozkleił, pakuły wypadły...? Zobaczymy. I co? Się wydało?...

Pytam (a już jest 18 listopada)

- no i jak wieńiec
- wisi... ślicznie wygląda.
- (29 marca 1968 roku
- wisi)"²⁰

W marcu
1968 r. też wisi

I znów to, jak rzecz jest zrobiona, proces jej powstawania stanowi klucz do jej poznania. A zarazem bije z tej prozy radość ze znajomości rzeczy (jak to się potocznie mówi; tu idzie o wnętrze rzeczy) oraz tchnie ona przecież i nieco złośliwym podejrzeniem, że może „się wydało”. Czy wieńiec się przypadkiem nie sypnął, mówiąc stylem Białoszewskiego? Wisi sobie, ale poeta zna go na wylot. Tak jak „tamten” róg Wilczej i Mokotowskiej. „Całkiem roztrzaskany. Właśnie roztrzaskany. Na sucho. Trzeszcząco. Na dechy, trzciny, mur, cegły. Resztki, poszarpane, stały, wisiały. Kamienica wysypała się na ulice. Na obydwie. Na skrzyżowanie. I rozsypała. Posypała. Bo tego było i było. Coraz rzadziej, im dalej. To decha, to cegły. A suche wszystko!” (s. 217). I wszystko wiadome, wszystko zgłębione, bo kamienica się wysypała. Poznanie przez przeniknięcie do wnętrza zostało Białoszewskiemu dane przez sypiącą się Warszawę. W krytyce polskiej już zawiązał się spór o to, skąd się wzięło kołyszające się miasto Białoszewskiego — zwłaszcza w *Autobiografii z Obrotów rzeczy*. J. Kwiatkowski, przyglądając się tamtemu miastu Białoszewskiego, stwierdzał, że nosi ono wyraźne cechy „wizji ruchu destrukcyjnego, wizji o elementach katastroficznych”. Ma być ona jak najbardziej zgodna z tendencjami sztuki ekspresjonistycznej, z „katastroficzno-ekspresjonistyczną wyobraźnią” Białoszewskiego²¹. Po lekturze *Pamiętnika z powstania war-*

Miasto —
ze sztuki...

²⁰ M. Białoszewski: *Donosy rzeczywistości*. Warszawa 1973, s. 61—62.

²¹ Kwiatkowski: *Abulia i liturgia...*, s. 145.

... czy z życia

szawskiego sądom Kwiatkowskiego przeciwstawiła się ostro Helena Zaworska. „Nie o ekspresjonistyczną katastrofę pozorną tu chodzi, lecz o autentyczne obserwacje zmysłowe w mieście walącym się w gruzy. (...) Ale świat kołyszący się w posadach nie jest u Białoszewskiego wywiedziony z głębi własnych stanów psychicznych, ani z doświadczeń europejskiej sztuki. Jest on światem widzialnym, jak najbardziej zależnym od zmysłowych obserwacji, rzeczywistym doświadczeniem życiowym setek tysięcy warszawiaków”. *Pamiętnik* Białoszewskiego ukazuje „z wyjątkową wprost wyrazistością genezę jego wyobraźni poetyckiej, źródła powracających wciąż motywów, obsesji, obrazów”²². Stanowiska zostały więc sprecyzowane nadzwyczaj jasno: Kwiatkowski wywiódł wszystko ze sztuki, Zaworska — z życia. Ale to są niebezpieczne wyłączenia. Tym bardziej niebezpieczne, że Białoszewski nie jest imitátorem cudzych obrazów, ale też nie jest po prostu zapisywaczem zmysłowego doświadczenia „setek tysięcy warszawiaków”. Jest on przede wszystkim twórcą własnej metody poetycko-fenomenologicznej, metody „zstępowania do głębi” — nie głębi duszy jednak (jak u romantyków), lecz głębi rzeczy, głębi substancji materialnej. Poznanie śmierci Miasta mogło być opowiedziane tylko w tej poetyce fenomenologicznej, bo tylko ona chwytła „istotę” i „zmianę”, czyli w tym wypadku destrukcję i rozkład postępujący z godziny na godzinę.

Ale zarazem nie należy sądzić, że został usunięty z *Pamiętnika* wszelki osobisty stosunek do procesu zagłady. Wręcz przeciwnie! Bo Świadek Miasta musi zapisać najdrobniejsze przejawy jego agonii, bo te zmiany — zmiany śmierci — to również zmiany rysów najdroższej twarzy, przez śmierć nieubłaganie zniekształconej. I temu wszystkiemu będzie dane świadectwo — tak jak dawano świadectwo żywotowi świętego męczennika, wszystkim torturom, jakie

²² H. Zaworska: *Dom*. „Twórczość” 1970 nr 10, s. 98—99.

były mu zadawane, wszystkim cierpieniom, przez jakie przejść musiał, zanim skonał. U Białoszewskiego wtedy pojawia się słówko „ważne”. Co jest „ważne”? „Dużo tu może mówię o tych zabytkach. Ale były ważne. Bo z nami ginęły” (s. 46). „Tak chciałem. A tak przeoczyłem. To nie aż takie ważne. Niby. Ale dla mnie... I Pałacu Radziwiłłowskiego. Ważne. I dla tego muru. Z ogrodem” (s. 82). Więc widzimy, co jest ważne: każdy mur, brama, gzyms nawet. A co jest „potrzebne”? „Dużo się chodziło, bo raz wtedy, ze Swenem, obaj poszliśmy, chyba specjalnie, do Katedry. Odwiedzić. Jeszcze raz. Zobaczyć się z nią. Dotknąć. To było potrzebne. U nas. Z tą Katedrą” (s. 89). Wszystko to co „ważne” i „potrzebne” zginęło — i wszystko to zostało ocalone. Dzięki łasce pamięci. Opisuując śmierć Miasta, Białoszewski osiąga wyżyny arcydzieła. Nikt nie był bardziej od niego powołany, by stać się świadkiem zagłady Warszawy, gdyż jemu właśnie została dana łaska pamięci, pamięci ocalającej Miasto od śmierci. Jego zagłada byłaby nieodwracalna, gdyby Białoszewski nie odnalazł i nie odzyskał dla siebie i dla nas jego czasu zniszczonego i utraconego przez śmierć. Tak jak świadectwo Białoszewskiego jest współuczestniczące, tak jego pamięć jest współczująca. To pamięć emocjonalnego zawłaszczenia każdej ulicy („O moja Piwno! Od Augustianów! Od niesporów! Psalmów! I Siedmiu Bolesci”, s. 135) i każdego kościoła („te moje kościoły”, s. 135). To łkający wyrzut bezsilności: „Nie uchronili nas nasi królowie. Ani myśmy nie uchronili naszych królów. Tego, co po nich. Wszystkiego. Wszystkiego” (s. 135). To straszliwy lament nad trupem Miasta: „Na Jasnej było chyba najgorzej. Szliśmy po potwornych zwaliskach. To wysoko. To nisko. Tu było pusto. I Swen zaczął nagle płakać. Na cały głos. Na całą ulicę. To mnie do reszty rozłożyło. I tak zresztą ryczałem. Tyle że może ciszej. Doszliśmy do placu Dąbrowskiego. Z czterech stron i na środku gruzy. I puchy. I to nie-

Świadek
męczeństwa
miasta

Jeremiasz
Warszawy

bo. Z zaczajonym echem” (s. 243). Pustka i echo pustki — oto *testimonium zagłady*, złożone przez Mirona, Poetę i Męczennika.

Jego świadectwo „cywilne” i „prywatne” zyskuje — wbrew posądzeniom o fałsz ze strony szkoły heroiczno-militarnej — coraz bardziej na wartości *prawdy*. Wielość rozmaitych nastrojów ujawniona w monumentalnym dziele wydanym w 1974 r. pt. *Ludność cywilna w powstaniu warszawskim* odślania uderzające zbieżności z ich zapisem w *Pamiętniku z powstania warszawskiego*. Z. Stefanowska przyznaje mu liczne wartości dokumentalne: „dokumentu doświadczeń zbiorowych”, „pamiętnika pamiętników”, „dokumentu pokoleniowego” — utrwalonego już w samym sposobie opowiadania²³. Ale Białoszewski niczego za nikim nie powtarza — docierając do sedna rzeczywistości wojennej, fenomenologicznie zgłębiając istotę rzeczy, odnajduje dla wojny swoją suwerenną formę, osobistą i społeczną zarazem.

²³ Z. Stefanowska: *Białoszewskiego «Pamiętnik z powstania warszawskiego»*. „Teksty” 1973 nr 4 (10), s. 130—137. „Tak właśnie mówiło pokolenie obarczone obowiązkiem hamowania własnych reakcji, zachowania dyscypliny wewnętrznej, «trzymania się» mimo wszystko” (s. 137).